



Mój bohater w „Morderczyńiach” pojawia się tak naprawdę w retrospekcjach i widzimy, jak „piękno-przemocowy” dom zgotował głównej bohaterce. Cofnęło mnie to o mnóstwo lat na podwórko, na którym ja się wychowałem... Przemoc była tak wszechobecna, że niezauważalna. Pomyślałem, że czasy bardzo się zmieniły. Dziś przemoc jest zakamuflowana, przyczojona i śliska

ODEJŚCIE OD ŻYCIA NA KRAWĘDZI NIE WPŁYNEŁO NA MOJE AKTORSTWO

ROZMOWA Z TOMASZEM SCHUCHARTEM, AKTOREM

Cała ta narracja, że trzeba dojeżdżać aktorów, że prawdziwa sztuka rodzi się w bólach, zarówno w trakcie pracy, jak i na skutek życiowego poorania, to bzdura.

MARCIN KUBE

W serialu „Morderczyńie” kolejny raz po „Doppelgängerze: Sobowtórze” i „Wielkiej wodzie” grasz ojca. Nie za wcześnie jak na 38-latkę?

Teoretycznie już jestem w wieku, w którym mógłbym mieć dorosłe dzieci.

Chodzi mi o zaszufladkowanie. Dziesięć lat temu grałeś 20-latków, a teraz będziesz grał samych fatuśków z tuszą?

Dziesięć lat temu miałem 28 lat, a teraz jestem tatą i mam tuszę... Przypadek? Raz na jakiś czas widzę, że trafiam do szufladek, w których nie jest mi zbyt dobrze, więc kiedy mi się jakaś znudzi, staram się ją zmieniać. Trudność polega na tym, że w porażającej większości ludzie odpowiedzialni za casting lecą sztafą. Często brakuje wyobraźni, by obsadzić aktora inaczej niż tak, jak wygląda... Miałem taki czas, że grałem ciągle wojskowych...

... „Karbala”, „Misja Afganistan” i inne. Fajna przygoda?

To było spełnianie marzeń z dzieciństwa, kiedy biegało się po podwórku z patykami i strzelało z kolegami. Mam wyobrażenie, czym może być wojna, jakie to są traumy, ale umówmy się, że film jest czy nawet powinien być zabawą. Później już skończony, zmontowany opowiada o poważnych rzeczach. Ale kiedy jesteśmy na planie, jest w tym dużo zabawy. No i gdy zobaczyłem, że dostaję

już piątą taką propozycję z rzędu, stwierdziłem, że trzeba coś zmienić, i poprosiłem moją agentkę, żeby poszukała czegoś innego. Później miałem też okres, gdy grałem jednoznacznie złe postacie. I znów pomyślałem, że trzeba odczarować ten wizerunek, więc kiedy Grzesiek Jaroszuk zaprosił mnie do „Kebab i Horoskopu”, chętnie zgodziłem się zagrać w komedii postać kretyna. To procentuje tym, że reżyserowie castingów myślą sobie później: o proszę, on też i tak potrafi zagrać.

Później był biograficzno-muzyczny „Bodo”.

Michał Kwieciński namawiał mnie do tego serialu, tylko że ja nigdy takiego kina nie lubiłem ani się w nim nie odnajdywałem. Gdzie ja do śpiewu i tańca? Mimo to pomyślałem: a idźmy w to, będzie przygoda. To zaowocowało kolejnymi rolami.

Od pewnego czasu twoje role determinuje jednak waga.

Casting często sprowadza się do fizys. A ja dość szybko zacząłem siwieć, potem mocno przytyłem. Znaleźli się tacy, co chcieli to wykorzystać... Jednak kilka lat minęło i jak to mam w zwyczaju, stwierdziłem, że znów coś trzeba zmienić, żeby nie było za wygodnie, i postanowiłem w lutym, że schudnę.

Jak idzie?

Już mniej o 23 kilo, zostało jeszcze 10. Dałem sobie na to rok, choćby dlatego, żeby móc kontynuować rozpoczęte już

zdjęcia. Chcę schudnąć do projektu, który pozwoli mi znowu zmienić moje emploi.

Zabawy z kilogramami są obciążone ryzykiem.

Przybrałem na wadze do roli w „Hiacyncie”, potem już z tymi kilogramami zostałem, nie było czasu, żeby to zmienić. I zaczęły się przez to inne role. Przed serialem „Wielka woda” mówię do Janka Holoubka, że pewnie bym coś musiał schudnąć, a on pokręcił głową: „Nie, stary. Tak jest super”. Te kilogramy też przydały się do roli Jana Bitnera w „Doppelgängerze”.

To facet, którego w środku PRL-u wyniszcza rodzinna trauma i alkoholizm. Z kolei w najnowszej produkcji, serialu Viaplay „Morderczynie”, grasz policjanta, który wszystkie problemy rozwiązuje przemocą. Czy to w pracy policyjnej, czy w kwestiach wychowawczych.

Dobrze, że wspominasz „Morderczynie”... Ostatnio nagadałem się o „Sobowótze”, a ten epizod w „Morderczynie” to ciekawa sprawa. Początkowo nie chciałem tej roli przyjąć, bo i rola mała, i na koncie zawodowym kilku policjantów... Wziąłem się za to tak naprawdę za namową reżysera Kristoffera Rusa i pomyślałem, że zawsze to jakaś szansa, by się poznać w pracy i na przyszłość... Nie sądziłem nawet, że tak mnie to zadanie sponiewiera. Mój bohater pojawia się tak naprawdę w retrospekcjach i widzimy, jak „piękno-przemocowy” dom zgotował głównej bohaterce granej przez Maję Pankiewicz. Cofnęło mnie to o mnóstwo lat na podwórko, na którym ja się wychowałem... Przemoc była tak wszechobecna, że niezauważalna. Pomyślałem, że czasy bardzo się zmieniły. Dziś przemoc jest zakamuflowana, przyczajona i śliska. Tę, którą ja pamiętam, określiłbym mianem beczelnej i ostentacyjnej. Myślę, że nieważne, w której formie mamy z nią do czynienia, trzeba o niej mówić i trzeba ją punktować. To dobry czas, by taka dyskusja rozgorzała.

Miałeś w swojej karierze kilka momentów dużej popularności. Najpierw nagrody za „Chrzest” i „Jesteś Bogiem”, potem telewizyjny przebój „Bodo”, a w 2022 r. „Wielka woda”, która była z kolei wielkim hitem na Neffliksie. Który moment był kluczowy w twojej karierze?

Tak naprawdę to dopiero po „Wielkiej wodzie” otworzyły mi się drzwi do większej liczby propozycji.

To jednocześnie rok, w którym kończą się premiery teatralne z twoim udziałem.

Wcześniej, gdy kończyłem jeden projekt na planie, nie wiedziałem, co będę robił następnego. Nie miałem nic zaplanowanego na kilka-kilkanaście miesięcy do przodu. Coś się z reguły pojawiało, raz mniejszego, raz większego. Trochę loteria. Nie miałem też takiego statusu, żeby odmawiać. Jak teraz nie wezmę tego – miałem wrażenie – to już nic później nie zagram. Teatr więc dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Po „Wielkiej wodzie” postawiłem wszystko na jedną kartę i zrezygnowałem z etatu, co nie znaczy, że nie będę grywał w teatrze. Podejmując tę decyzję, wiedziałem, że nie będzie powrotu i będę musiał skupić się na filmie.

Masz świadomość, że jesteś w aktorskiej klasie wyższej? Często zapomina się o tym, że popularność w tym zawodzie nie jest normą.

Tak, aczkolwiek powiedziałbym, że jestem w gronie mniej więcej 5 proc. aktorów w kraju, którzy mogą więcej grać przed kamerą, ale nie jestem w tym 1 proc., który mówi sobie: ta rola tak, a tamta nie. Tak mogą pracować, myślę: Marcin Dorociński, Borys Szyc, Robert Więckiewicz, a z mojego pokolenia może Dawid Ogrodnik.

Aktorstwo filmowe zdaje się być trochę jak karuzela frenerska w piłce nożnej. Ważne, by na nią wskoczyć i nie spaść.

No tak, wskoczyć na konika (śmiech). Takie było nasze założenie z moim kumplem, aktorem i reżyserem Piotrkim Domalewskim. Jeszcze w szkole teatralnej, jak mieszkaliśmy razem, Domal powtarzał: „Szuszu, trzeba robić i się nie zastanawiać”. Bo jak będziesz robił, to się będziesz rozwijał. A jak się zaczniesz rozwijać, to zaczniesz istnieć. A jak zaczniesz istnieć, to może kiedyś będziemy mogli sobie robić to, co będziemy tylko chcieli. Zagrałem dzięki temu w mnóstwie różnych projektów, dobrych i złych. Cieszę się z jednych i drugich, bo wszystkie tworzą moją drogę. Są rzeczy, których się wstydzę, ale już tego nie zmienię. Jednocześnie dzięki tym gorszym produkcjom i planom filmowym wyrobiłem sobie charakter i zdobyłem doświadczenie. Paru osobom w branży powiem już dzisiaj „cześć”, ale nie pierwszy i bardzo niechętnie, paru powiem wprost, że nie chcę z nimi pracować. Nie jest to długa lista, ale jest.

A chciałbyś grać więcej takich ról jak w „Morderczynie”? Takich, w których dokonujesz przekroczeń, jesteś odrażający, budzisz strach, niechęć?

Mniej więcej w styczniu wchodziłem na plan... 40 dni zdjęciowych u Wojtka Smarzowskiego, a kto go zna, wie, że cukierkowo nie będzie.

I jak teraz przygotowujesz się do tej roli?

Robić swoje i nie myśleć za dużo (śmiech). W ogóle z wiekiem zauważam, że myślenie nie rozpieszcza... Jest po prostu trudniej. Wyobrażam sobie, że byłbym całkiem spokojny, nie stawiając sobie tych wszystkich pytań, co je mam w zwyczaju stawiać codziennie. Zamiast tego jestem w jakiejś notorycznej niestabilności plus raz na jakiś czas wuję się, próbując odpowiedzieć z sensem na pytania tego czy innego dziennikarza. Wracając do roli u Wojtka, to jest duża szansa, że bohater nie będzie lubiany. Na szczęście mam potem w planach inną rolę, więc znowu będzie zmiana.

Czyli raczej aktor kameleon, taki jest twój wzór?

Taki jest ideał, ale decyzje obsadowe często zapadają na poziomie produkcji, nawet jeśli reżyser ma swój autorski pomysł obsadowy. Do tego dziś dochodzi obecność w mediach społecznościowych. Słyszę, że obsady są czasem kompletowane pod kątem tego, kto ma jakie zasięgi w internecie. To dotyczy kina komercyjnego, więc rozumiem, że ono ma prawo posługiwać się słupkami, w końcu chodzi o zarabianie, ale też jest jakaś cena takiego podejścia, na przykład humor w scenariuszu jest bardziej miła, a obsada stereotypowa.

Przez te dziesięć lat zmieniły się tylko role czy ty też się zmieniłeś?

Spowaźniałem mentalnie, bo byłem strasznie głupi.

Beztroski czy autodestrukcyjny?

Miałem siano we łbie, ale autodestrukcję też. Zabawa była przednia i wszystko, co z nią związane. Zarazem byłem niedojrzały emocjonalnie, a do zawodu trafiłem absolutnie z przypadku. Nie tak, jak wielu ludzi, których znałem, co od małego marzyli o aktorstwie, przygotowywali się latami do egzaminów albo zdawali do szkoły aktorskiej po kilka razy. Gdybym się nie dostał za pierwszym razem, to bym pewnie już nie próbował więcej. Trudno – bym sobie powiedział – mam co robić. Bardzo lubiłem historię, dostałem się też na studia matematyczne. Myślałem, że może zostanę nauczycielem u siebie na wsi. Do tego od zawsze lubiłem czytać i interesowałem się poezją.

Nie dokuczały ci inne dzieciaki z tego powodu?

Miałem niejako dwa życia. Byłem ja, ten, który chodził do szkoły i grał z kumplami w piłę; robiłem „chłopackie” rzeczy, gadaliśmy o dziewczynach, oglądaliśmy mecze i filmy na kasetach VHS. Tak zwanej wyższej sztuki nie znałem. W teatrze byłem może raz, a jak z klasą jeździliśmy na wycieczkę do kina, to na takie filmy jak „Prymas: Trzy lata z tysiąca” albo „Quo vadis”, więc rozumiesz.

A to drugie życie jak wyglądało?

Kiedy wieczorem kończyłem grać w piłkę i rodzice kazali mi kłaść się spać, to brałem książki Edwarda Stachury czy Rafała Wojaczka i czytałem je z latarką



SŁYSZĘ, ŻE OBSADY SĄ CZASEM KOMPLETOWANE POD KĄTEM TEGO, KTO MA JAKIE ZASIĘGI W INTERNECIE. TO DOTYCZY KINA KOMERCYJNEGO, WIĘC ROZUMIEM, ŻE ONO MA PRAWO POSŁUGIWAĆ SIĘ SŁUPKAMI, W KOŃCU CHODZI O ZARABIANIE, ALE TEŻ JEST JAKAŚ CENA TAKIEGO PODEJŚCIA, NA PRZYKŁAD HUMOR W SCENARIUSZU JEST BARDZIEJ MIAŁKI, A OBSADA STEREOTYPOWA

pod kołdrą. Te wiersze same wchodziły mi do głowy, zapamiętywałem je, zwłaszcza jak mi się któryś spodobał. Młodsza siostra nakrywała mnie czasem, jak w łazience przy myciu zębów mówiłem do lustra fragmenty wiersza. Przypominam sobie takie sytuacje, ale w żaden sposób nie wiązałem tego w ciąg przyczynowo-skutkowy. Dopiero w klasie maturalnej przyszła do nas nauczycielka z klasy humanistycznej, bo ja byłem w matematyczno-fizycznej, i spytała, czy ktoś chce startować w Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim.

Wygrałeś go?

Zająłem trzecie miejsce w województwie i na ogólnopolską rywalizację już nie pojechałem. Ale to wtedy jeden z jurorów, który sam był aktorem, spytał mnie, czy będę zdawał do szkoły teatralnej. Co? Jak? Gdzie? Nie wiedziałem w ogóle, skąd to pytanie. Słuchaj – mów – jeśli nie wiesz, jak się do tego zabrać, to mogę cię przygotować. Ale ja wtedy na to: nie, dziękuję, do widzenia.

Ale już innego nauczyciela, ze swojego rodzinnego Sobowidza, posłuchałeś.

Tak, nauczyciela, który stał się moim kumplem – Stach Szulist. To on wybrał ze mną teksty na egzaminy, a wcześniej

wprowadził w świat sztuki, puścił pierwsze filmy, które nie były „Terminatorem” i „Rambo”. Wprowadził mnie w literaturę, zachęcił do lektur Dostojewskiego i innych wielkich pisarzy.

W twoim domu się nie czytało?

Jakieś książki były, różnego rodzaju zdobycze, nagrody za świadectwo z czerwonym paskiem itp. Ale nikt mi nie mówił, co mam robić, nie sugerował czy kierował w jaką stronę. Była nas czwórka rodzeństwa, mama pracowała jako pielęgniarka w Gdańsku, spędzała poza domem po 15-17 godzin na dobę. Ojciec też ciężko pracował.

Postrzegasz siebie jako człowieka z klasy ludowej? Myślisz w ogóle w tych kategoriach?

Do momentu, kiedy żyłem na tej swojej wsi, czyli zanim poszedłem do liceum do Gdańska, miałem przekonanie, że to jest fajny świat, w którym mogę sobie mieć te dwa życia, i wszystko będzie dobrze. Dopiero w szkole średniej i na studiach zobaczyłem, jaka to jest przepaść, jeśli chodzi o poziom nauczania. Do szkoły dojeżdżałem autobusem i pociągiem, trzeba było wcześniej wstać, bywało, że już godzinę przed lekcjami siedziałem na korytarzu, bo tak się ułożyły rozkłady jazdy. A jak mi uciekł pociąg do domu, to siedziałem w gdańskim Empiku i czytałem różne komiksy i książki.

Bywało, że w liceum albo na studiach wstydzili ci się powiedzieć, że jesteś ze wsi?

Na początku w Krakowie mówiłem, że jestem z Gdańska. Ale gdzieś w okolicach trzeciego-czwartego roku studiów zrozumiałem, że to, iż jestem z popegeerowskiej wsi, i ja taką wieś, także tę pijaną, z różnymi patologiami, bardzo dobrze znam, to jest moje bogactwo, przewaga, jaką mam nad kolegami, którzy dorastali w Krakowie czy innym wielkim mieście. Że to mnie będzie wyróżniać, a nie to, że – jak większość studentów – od młodości interesowałem się teatrem Tadeusza Kantora i Jerzego Grotowskiego, o których nie miałem bladego pojęcia. Ja myślałem, że kantor to pieniądze rozmienia, a nie robi teatr. Zatem dalej wstydziliem się swojej niewiedzy, ale już nie pochodzenia.

Czy wykładowcy traktowali cię czasem z góry? Jak utalentowanego chłopaka-roztropka?

Nie, ale to dlatego, że od urodzenia umiejętnie potrafiłem kamuflować różne rzeczy. Jeżeli czegoś na studiach nie wiedziałem, to z tych rozmów szybko się wykręcałem, po to tylko, żeby iść do biblioteki i sobie doczytać – wtedy nie było jeszcze smartfonów. Potem do tych

rozmów wracałem już mądrzejszy o doczytane książki. Nieprzypadkowo też zakumplowałem się z ludźmi, którzy mieli podobną historię. Piotrek Domalewski też przecież dużą część dzieciństwa spędził na wsi pod Łomżą.

Rysuje nam się tu opowieść o klasowym awansie.

Tylko że słowa klasizm oraz klasa to ja poznałem niedawno, interesując się dyskursem lewicowym. A poza tym zawsze miałem raczej skłonność do patrzenia na społeczeństwo nie przez pryzmat klas, ale przez pryzmat zbiorowości, całości społeczeństwa. No i bliżej jest mi do centrum niż lewicy.

Interesujesz się polityką?

Przed wszystkim wiem, że żyję w bańce. Wszyscy moi znajomi na Facebooku myślą tak jak ja, bo sobie ich tak przez lata dobrałem. I co z tego, że codziennie staram się czytać różne media, żeby zobaczyć, co na nich się pisze. Czasem konfederackie, czasem lewicowe. Wiem jednak, że to i tak mi nie daje obrazu ogółu, tego, co tam w społeczeństwie się tli. Inną sprawą jest to, że dyskurs polityczny przypomina dzisiaj gonienie własnego ogona. Albo jesteś za, albo przeciw, nie ma półśrodków.

Odcinasz się więc czy mimo wszystko jesteś zaangażowany?

Bardzo nie lubię tej drogi, która została obrana. Telewizję skasowałem już dawno temu, wolę w internecie wybierać sobie, co oglądam. Słucham bardzo dużo podcastów, debat i wykładów. I tam również ludzie potrafią się spierać, ale to jest jednak inny poziom, mówię o debatach akademickich.

Parę lat temu w mediach pojawiły się artykuły, że jesteś bardzo wierzący.

Z wiarą miałem bardzo ciekawą drogę. W dzieciństwie byłem ministrantem, co na mojej wsi można było robić innego? A miałem w sobie potrzebę przynależności do jakiejś grupy, więc byłem jednocześnie przez długi czas zindoktrynowany. Potem przeżyłem duże załamanie związane z wiarą, wiążące się z pytaniami, które zacząłem sobie stawiać, gdy zacząłem interesować się z filozofią. Później przechodziłem przez taki etap, gdy stwierdziłem, że czegoś mi brakuje, i zastanawiałem się, czy to przypadkiem nie jest ta wiara. Więc wróciłem do niej na jakiś czas i wtedy były te wywiady, kilka lat temu, o których mówisz. W internecie cały czas można trafić na te wywiady, zastanawiałem się nawet, czy nie można by ich usunąć, ale potem pomyślałem, że przecież nie będę się wstydził tego, kim jestem. Wtedy byłem taki, teraz jestem inny. Takie podejście to jedna z moich zdobyczy terapeutycznych, bo parę lat temu rozpocząłem terapię.

Myślisz, że wraz z biegiem lat będziesz się zmieniać coraz mniej czy taka już twoja natura?

Zawsze miałem umysł analityczny i wszystko podważam, rozwalam na czynniki pierwsze każde zdanie. W związku z tym uważam, że człowiek może się zmienić pod różnymi względami. Ja się zmieniam. Dziś jestem zdecydowanym antyklerykałem. Na pewno mam przestrzeń duchową, ale raczej ukierunkowuję się na człowieka, duchowość jest u mnie związana ze spotkaniem z drugim człowiekiem. Nie wierzę w systemy, w to że jakiś człowiek na ziemi wie, że na pewno jest tak albo tak.

Mówisz o sprawach, o których inni aktorzy milczą. Nie obawiasz się, że „zbrzydnieją” widzom, którzy mają odmienne poglądy? Albo zostaniesz wbrew sobie zapisany do jakiegoś środowiska, stronnictwa, partii?

Tylko że ja nie dmucham tej bańki, że jestem nieomylny. Nie składam obietnic, nie wygłaszam oświadczeń, staram się nie używać wielkich kwantyfikatorów „nigdy” i „zawsze”. Nie deklaruję się jak polityk, który przechodzi z LPR do Lewicy, potem idzie do PSL, a stamtąd do PiS, jednocześnie wszędzie powtarzając, że nigdy już nie zmieni partii. Cały czas się ubogacam kolejnymi spotkaniami, słucham mądrych ludzi i wszystko mi się zmienia w głowie. Coś, co myślałem dwa lata temu, może dziś już okazać się nieprawdą. A już zwłaszcza z czasów, kiedy byłem turbogłupi, gdy miałem mentalnie 16 lat. Tak samo podchodzę do aktorstwa.

To znaczy?

Staram się schodzić z planu z przeświadczeniem, że na dziś zagrałem wszystko, co mogłem. To nie znaczy, że nie mam do siebie czasem pretensji, że mogłem coś zrobić lepiej albo czemu dopiero po zdjęciach wymyśliłem jakieś fajne rzeczy do roli, a przecież mogłem na to wpaść wcześniej. Jednocześnie wiem, że nie zbijałem bąków, robiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby się

ile zobaczyłem, gdybym nie urodził się w takim, a nie innym miejscu, gdybym potem nie nawywił tego, co nawywił. Te moje doświadczenia były bogate, ale z czasem to wszystko zaczyna się z ciebie wylewać, jest ci coraz gorzej i musisz się z tego oczyścić. Stąd terapia w moim życiu. To po niej okazało się, że, kurczę, chyba mi to źle przedstawiano. Żywiłem się literaturą i sztuką, która wyniszczała jej autorów. Lubilem czytać Charlesa Bukowskiego, bo przecież on był taki super, chlął i żył, jak chciał. No, a jakie wiersze pisał! Albo Marcin Świetlicki czy Jerzy Pilch. Tylko że to jest bardzo specyficzna literatura. Olga Tokarczuk przecież tak nie hula, przynajmniej tak mi się wydaje (śmiech). Albo Wisława Szymborska. I to wcale nie odciska takiego ogromnego piętna na ich twórczości.

Zawsze mnie nurtowało, czy gdyby Maradona nie ćpał, to czy grałby lepiej? A może jednak by grał gorzej?

Po pierwsze, nie wiemy, kim byłby Maradona, gdyby nie ćpał. A po drugie, jest taki gość jak Messi, który nie ćpa, i jest świetny, nawet lepszy niż Maradona. Albo Cristiano Ronaldo, który żyje jak maszyna. Popatrzmy też na to z innej strony, weźmy np. takiego Matę. Dziecko, któremu niczego w teorii nie powinno brakować,

Myślałem: jakie to zabawne, że w szkole można mówić do studenta na „ty” i przeklinać. Ale wtedy byłem innym człowiekiem, nie wierzyłem w siebie, nie chciałem się wychylać, byłem pogubiony, więc wydaje mi się, że wtedy nie byłem gotowy, żeby się temu sprzeciwić. Ostatnimi laty zdarzało mi się jednak protestować. Parę razy pisali do mnie ludzie, których wzięłem w obronę, i dziękowali, że korzystając ze swojej pozycji, stawałem opór albo dyskutowałem z takim twórcą przemocowcem.

Dziś pokolenie waszych nauczycieli musi się gęsto tłumaczyć ze swoich praktyk reżyserskich. Chociażby Grzegorz Wiśniewski, z którym robiliście m.in. „Ryszarda III” w Teatrze Jaracza w Łodzi.

To, co robił Grzesiu Wiśniewski, nie powinno nigdy mieć miejsca. A inną sprawą jest to, że jedne z lepszych rzeczy, jakie widziałem w teatrze, to były jego przedstawienia – choćby „Zmierzch bogów” w Teatrze Wybrzeże. Tylko koszt, które były związane z pracą z nim, są zbyt duże, a całokształt – nieakceptowalny. Wykorzystywał ludzi, manipulował nimi, skłócał ze sobą, dręczył próbami, które nie były konieczne. Takich reżyserów, także filmowych, na mojej drodze też było paru... Teraz mam świetne przykłady ludzi z zupełnie innej bajki,

Casting często sprowadza się do fizys. A ja dość szybko zacząłem siwieć, potem mocno przytyłem. Znaleźli się tacy, co chcieli to wykorzystać... Te kilogramy też przydały się do roli Jana Bitnera w „Doppelgängerze”

MAT PRAS NEXT FILM FOT. JAROSŁAW SOŚNICKI/TVM



dobrze przygotować. I odpuszczam sobie. Jeżeli jest jakaś nieprawda w mojej roli, to pewnie dlatego, że tego dnia to było wszystko, na co było mnie stać. To pomaga, zwłaszcza człowiekowi, który całe lata w siebie nie wierzył.

Powiedziałeś o terapii i mówisz też w wywiadach, że starasz się stawać bardziej „kompletnym” człowiekiem – układać sobie w głowie, rozwiązywać stare problemy. Dawniej istniał silny pogląd, że to scena ma być kozetką dla aktora. A artysta zadowolony, syty, szczęśliwy, poukładany nie ma widzom nic do zaoferowania.

Wiem, o czym mówisz. Tę narrację kulturowaliśmy przez całą szkołę teatralną i w moim przypadku jeszcze dziesięć lat po niej. Ja i moi koledzy brnęliśmy w tę pielęgnowaną od dawna opowieść, że artysta, który nie ma rys i skaz, jest dupa, a nie artystą, bo nie ma nic do przekazania, nic nie przeżył. Dziś uważam, że nasze doświadczenia nas wzbogacają, ale niekoniecznie należy się nimi karmić. Byłbym innym człowiekiem, gdybym nie zobaczył w swoim życiu tyle,

nagrywa wstrząsający utwór „Patointeligencja” i staje się głosem całego pokolenia. To świadczy o tym, że rysy mamy wszyscy. Teraz pytanie, czy chcemy je podkreślać swoim życiem, używkami, niestałością? Czy chcesz pielęgnować to, że będziesz połamany? Dodam, że znam wielu aktorów, którzy wcale połamani nie są, ale za wszelką cenę chcą kreować taki swój obraz w mediach. Robią tak, bo myślą, że wtedy dopiero będą coś znaczyć jako artyści. Do tego stopnia, że organizują ustawki z fotoreporterami. Ja akurat na ustawkę nigdy się nie umówiłem, ale też przeszedłem drogę, z której nie każdego metra jestem dumny. Wiem natomiast, że teraz wolę mieć spokój, i nie mam wrażenia, że odejście od życia na krawędzi wpłynęło na moje aktorstwo.

A na studiach czuleś, że coś jest nie tak w zachowaniach niektórych reżyserów i pedagogów?

Wróćmy do tego, co już powiedziałem. Wychowałem się na podwórku i tam było tyle przemocy, że w szkole teatralnej nie traktowałem tego, co widziałem, jako przemocy. Albo wręcz obśmiewałem to,

jak np. Janek Holoubek, który nie ma w sobie cienia przemocy, za to ma niesamowitą miłość do ludzi, z którymi pracuje. Szanuje ich, potrafi pocieszyć, pośmieje się i zainteresuje, co u nich słychać. Nie krzyczy na planie, a swoje cele reżyserskie osiąga rozmową i budując zaufanie. Nie jest gościem, który chce jak demiurg narzucić ci wszystko. Cała ta narracja, że trzeba dojeżdżać aktorów, że prawdziwa sztuka rodzi się w bólach, zarówno w trakcie pracy, jak i na skutek życiowego poorania, to bzdura. /©

rozmawiał Marcin Kube

Tomasz Schuchardt (ur. 1986 r. w Starogardzie Gdańskim) – w 2009 r. skończył studia aktorskie na PWST w Krakowie. Swoją pierwszą dużą rolę zagrał w filmie „Chrzest” (2010), za którą dostał nagrodę na festiwalu w Gdyni. Dwa lata później otrzymał ją za drugoplanową rolę rapera Fokusa w filmie biograficznym „Jesteś Bogiem”. Dziś ma na koncie ponad 20 ról filmowych, tyle samo w teatrze i kilkanaście w serialach (w 2022 r. „Wielka woda” na Netflixie i „Krucjata” w TVP). Współpracował z najwybitniejszymi reżyserami w kraju, m.in. Piotrem Domalewskim, Janem Holoubkiem, Małgorzatą Szumowską, Marcinem Wroną. Obecnie można go oglądać w kinach w „Doppelgängerze: Sobowtórze” (dystr. Next Film), a w telewizji premierowo w „Morderczyńcach” na platformie Viaplay. Jest żonaty, ma córkę